

NOWELE

Bolesław Prus

KAMIZELKA

Niektórzy ludzie mają pociąg do zbierania osobliwości kosztowniejszych lub mniej kosztownych, na jakie kogo stać. Ja także posiadam zbiorek, lecz skromny, jak zwykle w początkach.

Jest tam mój dramat, który pisałem jeszcze w gimnazjum na lekcjach języka łacińskiego... Jest kilka zasuszonych kwiatów, które trzeba będzie zastąpić nowymi, jest...

Zdaje się, że nie ma nic więcej oprócz pewnej bardzo starej i zniszczonej kamizelki.

Oto ona. Przód spłowiwały, a tył przetarty. Dużo plam, brak guzików, na brzegu dziurka, wypalona zapewne papierosem. Ale najciekawsze w niej są ściągacze. Ten, na którym znajduje się sprzączka, jest skrócony i przyszyty do kamizelki wcale nie po krawiecku, a ten drugi, prawie na całej długości, jest pokłuty zębami sprzączki.

Patrząc na to od razu domyślasz się, że właściciel odzienia zapewne co dzień chudnął i wreszcie dosięgnął tego stopnia, na którym kamizelka przestaje być niezbędna, ale natomiast okazuje się bardzo potrzebny zapięty pod szyję frak z magazynu pogrzebowego.

Wyznam, że dziś chętnie odstąpiłbym komu ten szmat sukna, który mi robi trochę kłopotu. Szaf na zbiory jeszcze nie mam, a nie chciałbym znowu trzy-

mać chorej kamizelczyny między własnymi rzeczami. Był jednak czas, żem ją kupił za cenę znakomicie wyższą od wartości, a dałbym nawet i drożej, gdyby umiano się targować. Człowiek miewa w życiu takie chwile, że lubi otaczać się przedmiotami, które przypominają smutek.

Smutek ten nie gnieździł się we mnie, ale w mieszkaniu bliskich sąsiadów. Z okna mogłem co dzień spoglądać do wnętrza ich pokoiku.

Jeszcze w kwietniu było ich troje: pan, pani i mała służąca, która sypiała, o ile wiem, na kuferku za szafą. Szafa była ciemnowiśniowa. W lipcu, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, zostało ich tylko dwoje: pani i pan, bo służąca przeniosła się do takich państwa, którzy płacili jej trzy ruble na rok i co dzień gotowali obiady.

W październiku została już tylko – pani, sama jedna. To jest niezupełnie sama, ponieważ w pokoju znajdowało się jeszcze dużo sprzętów: dwa łóżka, stół, szafa... Ale na początku listopada sprzedano z licytacji niepotrzebne rzeczy, a przy pani ze wszystkich pamiątek po mężu została tylko kamizelka, którą obecnie posiadam.

Lecz w końcu listopada pewnego dnia pani zawołała do pustego mieszkania handlarza starzyzny i sprzedała mu swój parasol za dwa złote i kamizelkę po mężu za czterdzieści groszy. Potem zamknęła mieszkanie na klucz, powoli przeszła dziedziniec, w bramie oddała klucz stróżowi, chwilę popatrzyła w swoje niegdyś okno, na które padały drobne płatki śniegu, i – znikła za bramą.

Na dziedzińcu został handlarz starzyzny. Podniósł do góry wielki kołnierz kapoty, pod pachę wetknął dopiero co kupiony parasol i owinąwszy w kamizelkę ręce czerwone z zimna, mruczał:

– Handel, panowie... handel!...

Zawołałem go.

– Pan dobrodziej ma co do sprzedania? – zapytał wchodząc.

– Nie, chcę od ciebie coś kupić.

– Pewnie wielmożny pan chce parasol?... – odparł Żydek.

Rzucił na ziemię kamizelkę, otrząsnął śnieg z kołnierza i z wielką usilnością począł otwierać parasol.

– A fajn mebel!... – mówił. – Na taki śnieg to tylko taki parasol... Ja wiem, że wielmożny pan może mieć całkiem jedwabny parasol, nawet ze dwa. Ale to dobre tylko na lato!...

– Co chcesz za kamizelkę? – spytałem.

– Jake kamyzelkie?... – odparł, zdziwiony, myśląc zapewne o swojej własnej.

Ale wnet opamiętał się i szybko podniósł leżącą na ziemi.

– Za te kamyzelkie?... Pan dobrodziej pyta się o te kamyzelkie?...

A potem, jakby zbudziło się w nim podejrzenie, spytał:

– Co wielmożnego pana po take kamyzelkie?!...

– Ile chcesz za nią?

Żydowi błysnęły żółte białka, a koniec wyciągniętego nosa poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Da wielmożny pan... rubelka! – odparł roztaczając mi przed oczyma towar w taki sposób, ażeby okazać wszystkie jego zalety.

– Dam ci pół rubla.

– Pół rubla?... taky ubjór?... To nie może być! – mówił handlarz.

– Ani grosza więcej.

– Niech wielmożny pan żartuje zdrów!... – rzekł klepiąc mnie po ramieniu. – Pan sam wi, co taka rzecz jest warta. To przecie nie jest ubjór na małe dziecko, to jest na dorosłe osoby...

– No, jeżeli nie możesz oddać za pół rubla, to już idź. Ja więcej nie dam.

– Ino niech się pan nie gniewa! – przerwał mięk-
nąc. – Na moje sumienie, za pół rubelka nie mogę,
ale – ja zdaję się na pański rozum... Niech pan sam
powie: co to jest wart, a ja się zgodzę!... Ja wolę doło-
żyć, byle to się stało, co pan chce.

– Kamizelka jest warta pięćdziesiąt groszy, a ja ci
daję pół rubla.

– Pół rubla?... Niech będzie już pół rubla!... – wes-
tchnął wpychając mi kamizelkę w ręce. – Niech bę-
dzie moja strata, byle ja z gęby nie robił... ten wjatr!...

I wskazał ręką na okno, za którym kłębił się tuman
śniegu.

Gdym sięgnął po pieniądze, handlarz, widocznie
coś przypomniawszy sobie, wyrwał mi jeszcze raz ka-
mizelkę i począł szybko rewidować jej kieszonki.

– Czegóż ty tam szukasz?

– Możem co zostawił w kieszeni, nie pamiętam! –
odparł najnaturalniejszym tonem, a zwracając mi na-
bytek dodał:

– Niech jaśnie pan dołoży choć z dziesiątkę!...

– No, bywaj zdrów! – rzekłem otwierając drzwi.

– Upadam do nóg!... Mam jeszcze w domu bardzo
porządne futro...

I jeszcze zza progu, wytknąwszy głowę, zapytał:

– A może wielmożny pan każe przynieść serki
owczych?...

W parę minut znowu wołał na podwórzu: „Handel!
handel!...” – a gdym stanął w oknie, ukłonił mi się
z przyjacielskim uśmiechem.

Śnieg zaczął tak mocno padać, że prawie zmierz-
chło się. Położyłem kamizelkę na stole i począłem
marzyć to o pani, która wyszła za bramę nie wiadomo
dokąd, to o mieszkaniu stojącym pustką obok mego,
to znowu o właścicielu kamizelki, nad którym coraz
gęstsza warstwa śniegu narasta...

Jeszcze trzy miesiące temu słyszałem, jak w pogod-
ny dzień wrześniowy rozmawiali ze sobą. W maju

pani raz nawet – nuciła jakąś piosenkę, on śmiał się czytając „Kuriera Świątecznego”. A dziś...

Do naszej kamienicy sprowadzili się na początku kwietnia. Wstawali dość rano, pili herbatę z blaszanego samowaru i razem wychodzili do miasta. Ona na lekcje, on do biura.

Był to drobny urzędniczek, który na naczelników wydziałowych patrzył z takim podziwem jak podróżnik na Tatry. Za to musiał dużo pracować po całych dniach. Widywałem nawet go i o północy, przy lampie, zgiętego nad stolikiem.

Żona zwykle siedziała przy nim i szyła. Niekiedy spojrzawszy na niego przerywała swoją robotę i mówiła tonem upominającym:

- No, już dość będzie, połóż się spać.
- A ty kiedy pójdziesz spać?...
- Ja... jeszcze tylko dokończę parę ściągów...
- No... to i ja napiszę parę wierszy...

Znowu oboje pochyłali głowy i robili swoje. I znowu po jakimś czasie pani mówiła:

- Kładź się!... Kładź się!...

Niekiedy na jej słowa odpowiadał mój zegar wybijając pierwszą.

Byli to ludzie młodzi, ani ładni, ani brzydzy, w ogóle spokojni. O ile pamiętam, pani była znacznie szczuplejsza od męża, który miał budowę wcale tęgą. Powiedziałbym, że nawet za tęgą na tak małego urzędnika.

Co niedzielę około południa wychodzili na spacer trzymając się pod ręce i wracali do domu późno wieczór. Obiad zapewne jedli w mieście. Raz spotkałem ich przy bramie oddzielającej Ogród Botaniczny od Łazienek. Kupili sobie dwa kufle doskonałej wody i dwa duże pierniki, mając przy tym spokojne fizjonomie mieszczan, którzy zwykli jadać przy herbacie gorącą szynkę z chrzanem.

W ogóle biednym ludziom niewiele potrzeba do utrzymania duchowej równowagi. Trochę żywności, dużo roboty i dużo zdrowia. Reszta sama się jakoś znajduje.

Moim sąsiadom, o ile się zdaje, nie brakło żywności, a przynajmniej roboty. Ale zdrowie nie zawsze dopisywało.

Jakoś w lipcu pan zaziębił się, zresztą nie bardzo. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności dostał jednocześnie tak silnego krwotoku, że aż stracił przytomność.

Było to już w nocy. Żona, utuliwszy go na łóżku, sprowadziła do pokoju stróżową, a sama pobiegła po doktora. Dowiadywała się o pięciu, ale znalazła ledwie jednego, i to wypadkiem, na ulicy.

Doktor, spojrzawszy na nią przy blasku migotliwej latarni, uznał za stosowne ją przede wszystkim uspokoić. A ponieważ chwilami zataczała się, zapewne ze zmęczenia, a dorożki na ulicy nie było, więc podał jej rękę i idąc tłumaczył, że krwotok jeszcze niczego nie dowodzi.

– Krwotok może być z krtani, z żołądka, z nosa, z płuc rzadko kiedy. Zresztą, jeżeli człowiek zawsze był zdrow, nigdy nie kaszlał...

– O, tylko czasami! – szepnęła pani zatrzymując się dla nabrania tchu.

– Czasami? To jeszcze nic. Może mieć lekki katar oskrzeli.

– Tak... to katar! – powtórzyła pani już głośno.

– Zapalenia płuc nie miał nigdy?...

– Owszem!... – odparła pani, znowu stając.

Trochę się nogi pod nią chwiały.

– Tak, ale zapewne już dawno?... – pochwycił lekarz.

– O, bardzo... bardzo dawno!... – potwierdziła z pośpiechem. – Jeszcze tamtej zimy.

– Półtora roku temu.

– Nie... Ale jeszcze przed Nowym Rokiem... O, już dawno!

– A!... Jaka to ciemna ulica, a w dodatku niebo trochę zasłonięte... – mówił lekarz.

Weszli do domu. Pani z trwogą zapytała stróża: co słyhać? – i dowiedziała się, że nic. W mieszkaniu stróżowa także powiedziała jej, że nic nie słyhać, a chory drzemał.

Lekarz ostrożnie obudził go, wy badał i także powiedział, że to nic.

– Ja zaraz mówiłem, że to nic! – odezwał się chory.

– O, nic... – powtórzyła pani ściskając jego spotniałe ręce. – Wiem przecie, że krwotok może być z żołądka albo z nosa. U ciebie pewnie z nosa... Tyś taki tęgi, potrzebujesz ruchu, a ciągle siedzisz... Prawda, panie doktorze, że on potrzebuje ruchu?...

– Tak, tak!... Ruch jest w ogóle potrzebny, ale małżonek pani musi parę dni poleżeć. Czy może wyjechać na wieś?

– Nie może... – szepnęła pani ze smutkiem.

– No – to nic! Więc zostanie w Warszawie. Ja będę go odwiedzał, a tymczasem – niech sobie poleży i odpocznie. Gdyby się zaś krwotok powtórzył... – dodał lekarz.

– To co, panie? – spytała żona blednąc jak воск.

– No, to nic. Mąż pani wypocznie, tam się zasklepi...

– Tam... w nosie? – mówiła pani składając przed doktorem ręce.

– Tak... w nosie! Rozumie się. Niech pani uspokoi się, a resztę zdać na Boga. Dobranoc.

Słowa doktora tak uspokoiły panią, że po trwodze, jaką przechodziła od kilku godzin, zrobiło się jej prawie wesoło.

– No, i cóż to tak wielkiego! – rzekła, trochę śmiejąc się, a trochę popłakując.

Uklękła przy łóżku chorego i zaczęła całować go po rękach.

– Cóż tak wielkiego! – powtórzył pan cicho i uśmiechnął się. – Ile to krwi na wojnie z człowieka upływa, a jednak jest potem zdrow!...

– Już tylko nic nie mów – prosiła go pani.

Na dworze zaczęło świtać. W lecie, jak wiadomo, noce są bardzo krótkie.

Choroba przeciągnęła się znacznie dłużej, niż myślano. Mąż nie chodził już do biura, co mu tym mniej robiło kłopotu, że jako urzędnik najemny nie potrzebował brać urlopu, a mógł wrócić, kiedy by mu się podobało i – o ile znalazłby miejsce. Ponieważ gdy siedział w mieszkaniu, był zdrowszy, więc pani wystarała się jeszcze o kilka lekcji na tydzień i za ich pomocą opędzała domowe potrzeby.

Wychodziła zwykle do miasta o ósmej rano. Około pierwszej wracała na parę godzin do domu, ażeby ugotować mężowi obiad na maszynie, a potem znowu wybiegała na jakiś czas.

Za to już wieczory spędzali razem. Pani zaś, aby nie próżnować, brała trochę więcej do szycia.

Jakoś w końcu sierpnia spotkała się pani z doktorem na ulicy. Długo chodzili razem. W końcu pani schwyciła doktora za rękę i rzekła błagalnym tonem:

– Ale swoją drogą, niech pan do nas przychodzi. Może też Bóg da!... On tak się uspokaja po każdej pańskiej wizycie...

Doktor obiecał, a pani wróciła do domu jakby spłakana. Pan też, skutkiem przymusowego siedzenia, zrobił się jakiś drażliwy i zwątpiały. Zaczął wymawiać żonie, że jest zanadto o niego troskliwa, że on mimo to umrze, a w końcu zapytał:

– Czy nie powiedział ci doktor, że ja nie przeżyję kilku miesięcy?

Pani zdrętwiała.

– Co ty mówisz? – rzekła. – Skąd ci takie myśli?

Chory wpadł w gniew.

– Oo, chodźże tu do mnie, tu!... – mówił gwałtownie, chwytając ją za ręce. – Patrz mi prosto w oczy i odpowiadaj: nie mówił ci doktor?

I utopił w niej rozgorączkowane spojrzenie. Zdało się, że pod tym wzrokiem mur wyszeptaby tajemnicę, gdyby ją posiadał.

Na twarzy kobiety ukazał się dziwny spokój. Uśmiechała się łagodnie, wytrzymując to dzikie spojrzenie. Tylko jej oczy jakby szkłem zasłży.

– Doktor mówił – odparła – że to nic, tylko że musisz trochę wypocząć...

Mąż nagle puścił ją, zaczął drżeć i śmiać się, a potem machając ręką rzekł:

– No, widzisz, jakim ja nerwowym!... Koniecznie ubrdało mi się, że doktor zwątpił o mnie... Ale... przekonałaś mnie... Już jestem spokojny!...

I coraz weselej śmiał się ze swoich przywidzeń.

Zresztą taki atak podejrzliwości nigdy się już nie powtórzył. Łagodny spokój żony był przecie najlepszą dla chorego wskazówką, że stan jego nie jest zły.

Bo i z jakiej racji miał być zły?

Był wprawdzie kaszel, ale – to z kataru oskrzeli. Czasami, skutkiem długiego siedzenia, pokazywała się krew – z nosa. No, miewał też jakby gorączkę, ale właściwie nie była to gorączka, tylko – taki stan nerwowy.

W ogóle czuł się coraz zdrowszy. Miał nieprzeparłą chęć do jakichś dalekich wycieczek, lecz – trochę sił mu brakło. Przyszedł nawet czas, że w dzień nie chciał leżeć w łóżku, tylko siedział na krześle ubrany, gotowy do wyjścia, byle go opuściło to chwilowe osłabienie.

Niepokoił go jeden szczegół.

Pewnego dnia kładąc kamizelkę uczuł, że jest jakoś bardzo luźna.

– Czybym aż tak schudł?... – szepnął.

– No, naturalnie, że musiałeś trochę zmizernieć – odparła żona. – Ale przecież nie można przesadzać...

Mąż bacznie spojrzał na nią. Nie oderwała nawet oczu od roboty. Nie, ten spokój nie mógł być udany!... Żona wie od doktora, że on nie jest tak znowu bardzo chory, więc nie ma powodu martwić się.

W początkach wrześnie nerwowe stany, podobne do gorączki, występowały coraz silniej, prawie po całych dniach.

– To głupstwo! – mówił chory. – Na przejściu od lata do jesieni najzdrowszemu człowiekowi trafia się jakieś rozdrażnienie, każdy jest nieswój... To mnie tylko dziwi: dlaczego moja kamizelka leży na mnie coraz luźniej?... Strasznie musiałem schudnąć i naturalnie dopóty nie mogę być zdrowym, dopóki mi ciała nie przybędzie, to darmo!...

Żona bacznie przysłuchiwała się temu i musiała przyznać, że mąż ma słuszność.

Chory co dzień wstawał z łóżka i ubierał się, pomimo że bez pomocy żony nie mógł wciągnąć na siebie żadnej sztuki ubrania. Tyle przynajmniej wymogła na nim, że na wierzch nie kładł surduta, tylko paltot.

– Dziwić się tu – mówił nieraz, patrząc w lustro – dziwić się tu, że ja nie mam sił. Ależ jak wyglądam!...

– No, twarz zawsze łatwo się zmienia – wtrąciła żona.

– Prawda, tylko że ja i w sobie chudnę...

– Czy ci się nie zdaje? – spytała pani z akcentem wielkiej wątpliwości.

Zamyślił się.

– Ha! może i masz rację... Bo nawet... od kilku dni uważam, że... coś... moja kamizelka...

– Dajże pokój! – przerwała pani – przecież nie utyłeś...

– Kto wie? Bo, o ile uważam po kamizelce, to...

– W takim razie powinny by ci wracać siły.

– Oho! chciałabyś tak zaraz... Pierwej muszę przecież choć cokolwiek nabrać ciała. Nawet powiem ci, że choć i odzyskam ciało, to i wtedy jeszcze nie zaraz nabiorę sił...

– A co ty tam robisz za szafą?... – spytał nagle.

– Nic. Szukam w kufrze ręcznika, a nie wiem... czy jest czysty.

– Nie wysilajże się tak, bo aż ci się głos zmienia... To przecież ciężki kufer...

Istotnie, kufer musiał być ciężki, bo pani aż porobiła się wypieki na twarzy. Ale była spokojna.

Odtąd chory coraz pilniejszą zwracał uwagę na swoją kamizelkę. Co parę zaś dni wołał do siebie żonę i mówił:

– No... patrzajże. Sama się przekonaj: wczoraj mogłem tu jeszcze włożyć palec, o – tu... A dziś już nie mogę. Ja istotnie zaczynam nabierać ciała!

Ale pewnego dnia radość chorego nie miała granic. Kiedy żona wróciła z lekcji, powitał ją z błyszczącymi oczyma i rzekł bardzo wzruszony:

– Posłuchaj mnie, powiem ci jeden sekret... Ja z tą kamizelką, widzisz, trochę szachrowałem. Ażeby ciębie uspokoić, co dzień sam ściągałem pasek i dlatego – kamizelka była ciasna... Tym sposobem dociągnąłem wczoraj pasek do końca. Już martwiłem się myśląc, że się wyda sekret, gdy wtę dziś... Wiesz, co ci powiem?... Ja dziś, daję ci najświętsze słowo, zamiast ściągać pasek musiałem go trochę rozluźnić!... Było mi formalnie ciasno, choć jeszcze wczoraj było cokolwiek luźniej...

No, teraz i ja wierzę, że będę zdrow... Ja sam!... Niech doktor myśli, co chce...

Długa mowa tak go wysiliła, że musiał przejść na łóżko. Tam jednak, jako człowiek, który bez ściągnięcia pasków zaczyna nabierać ciała, nie położył się, ale jak w fotelu oparł się w objęciach żony...

-- No, no!... – szeptał – kto by się spodziewał?... Przez dwa tygodnie oszukiwałem moją żonę, że kamizelka jest za ciasna, a ona dziś naprawdę sama ciasna!...

No... no!...

I przesiadli tuląc się jedno do drugiego cały wieczór.

Chory był wzruszony jak nigdy.

– Mój Boże! – szeptał całując żonę po rękach – a ja myślałem, że już tak będę chudnął do... końca. Od dwu miesięcy dziś dopiero, pierwszy raz, uwierzyłem w to, że mogę być zdrow.

Bo to przy chorym wszyscy kłamią, a żona najwięcej. Ale kamizelka – ta już nie skłamię!...

Dziś patrząc na starą kamizelkę widzę, że nad jej ściągaczami pracowały dwie osoby. Pan – co dzień posuwał sprzączkę, ażeby uspokoić żonę, a pani co dzień – skracała pasek, aby mężowi dodać otuchy.

„Czy znowu zejda się kiedy oboje, ażeby powiedzieć sobie cały sekret o kamizelce?...” – myślałem patrząc na niebo.

Nieba prawie już nie było nad ziemią. Padał tylko śnieg taki gęsty i zimny, że nawet w grobach marzły ludzkie popioły.

Któż jednak powie, że za tymi chmurami nie ma słońca?...

KATARYNKA

Na ulicy Miodowej co dzień około południa można było spotkać jegomościa w pewnym wieku, który chodził z placu Krasińskich ku ulicy Senatorskiej. Latem nosił on wykwintne, ciemnogranatowe palto, popielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące jak zwierciadła – i – nieco wyszarzany cylinder.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate faworyty i siwe, łagodne oczy. Chodził pochylony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę; w pochmurny – dźwigał jedwabny parasol angielski.

Był zawsze głęboko zamyślony i posuwał się z wolna. Około Kapucynów dotykał pobożnie ręką kapelusza i przechodził na drugą stronę ulicy, ażeby zobaczyć u Pika, jak stoi barometr i termometr, potem znowu zawracał na prawy chodnik, zatrzymywał się przed wystawą Mieczkowskiego, oglądał fotografie Modrzejewskiej – i szedł dalej.

W drodze ustępował każdemu, a potracony uśmiechał się życzliwie.

Jeżeli kiedy spostrzegł ładną kobietę, zakładał binokle, aby przypatrzeć się jej. Ale że robił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to – pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową i nieraz myślał, że się na niej wiele rzeczy zmieniło. Toż samo ulica Miodowa pomyśleć by mogła o nim.

Gdy był jeszcze obrońcą, biegał tak prędko, że nie uciekaby przed nim żadna szwaczka wracająca z magazynu do domu. Był wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy zakręcone ostro do góry. Już wówczas sztuki piękne robiły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał, bo szalał – za kobietami. Co prawda miał do nich szczęście i nieustannie był swatany. Ale cóż z tego, kiedy pan Tomasz nie mógł nigdy znaleźć ani jednej chwili na oświadczyzny, będąc zajęty jeżeli nie praktyką, to – schadzkami. Od Frani szedł do sądu, z sądu biegł do Zosi, którą nad wieczorem opuszczał, ażeby z Józią i Filką zjeść kolację.

Gdy został mecenasem, czoło, skutkiem natężonej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia, a na wąsach pokazało się kilka srebrnych włosów. Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodzieńczej gorączki, miał majątek i ustaloną opinię znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, więc począł myśleć o małżeństwie. Najął nawet mieszkanie z sześciu pokoiów złożone, urządził w nim na własny koszt posadzki, sprawił obicia, piękne meble – i szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już zbyt długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale... nie czekając na oświadczyzny mecenasa wyszła za doktora...

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ pańien nie brakło. Ekwipował się powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przedstawiał zwierciadła, kupował obrazy.

Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam nie wiedząc kiedy, stworzył u siebie galerię sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u niego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemną siwą w tył do białego jak śnieg kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tym bardziej że dla kobiet wciąż czuł życzliwość.

Raz, kiedy przyjmował liczniejsze niż zwykle towarzystwo, jedna z młodych pań rozejrzawszy się po salonach zawołała:

– Co za obrazy... A jakie gładkie posadzki!... Żona pana mecenasu będzie bardzo szczęśliwa.

– Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie posadzki – odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasu.

W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu kto wspomniał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

– Iiii!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił faworyty. O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość.

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. Piękny obraz, dobry koncert, nowe przedstawienie teatralne były jakby wiorstowymi słupami na drodze jego życia. Nie zapalał się on, nie unosił, ale – smakował.

Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady, ażeby słuchać muzyki nie słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się wprzód

z utworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów, i spędzał w galerii całe godziny.

Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

– Wiecie, państwo, że jest to wcale ładne.

Należał do tych niewielu, którzy najpierw poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

– Czekaście, może się jeszcze wyrobi! – mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występkach nie rozmawiał.

Na nieszczęście, żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto – nienawidził kataryniarzy i katarynek.

Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyspieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny – zapalał się, jak był cichy – krzyczał, a jak był łagodny – wpadał w gniew na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłumaczył się.

– Muzyka – mówił wzburzony – stanowi najsubtelniejsze ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeraża się w funkcję maszyny i narzędzie rozboju. Bo kataryniarze są po prostu rabusie!

– Zresztą – dodawał – katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstręcie mecenasu do grających maszyn, wymyślił niesmaczny żart – i... wysłał mu pod okna dwu kataryniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie odkrywszy sprawcę, wyzwał go na pojedynek.

Aż sąd honorowy trzeba było zwoływać dla zapobieżenia rozlewowi krwi o rzecz tak małą na pozór.

Dom, w którym mecenas mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacją płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

– Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

– Kazimierz, proszę pana.

– Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

– Rozumiem, wielmożny panie.

– A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

– Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie – odpowiedział wzruszony stróż.

– Za to, ażebyś na podwórzu nigdy nie puszczał katarynek. Rozumiesz?...

– Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Lokal mecenasu składał się z dwu części. Cztery większe pokoje miały okna od ulicy, dwa mniejsze – od podwórza. Paradna połowa mieszkania przeznaczona była dla gości. W niej odbywały się rauty, przyjmowani byli interesanci i stawali krewni albo znajomi mecenasu ze wsi. Sam pan Tomasz ukazywał się tu rzadko i tylko dla sprawdzenia, czy wywoskowano posadzkę, czy starto kurz i nie uszkodzono mebli.

Całe zaś dnie, o ile nie przepędzał ich za domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy albo przeglądał dokumenty znajomych, którzy prosili go o radę. A gdy nie chciał forsować wzroku, siadał na fotelu naprzeciw okna

i zapaliwszy cygaro zatapiał się w rozmyślaniach. Wiedział on, że myślenie jest ważną funkcją życiową, której nie powinien lekceważyć człowiek dbający o zdrowie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który spadłszy z etatu przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiki krawiec; lecz że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją służką.

Ale od św. Jana, staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłótliwego usposobienia, wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie z małą, może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa, i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny przeznaczone do szycia i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzyczką, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka za pomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbie-

rała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko siedząc w oknie przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

„Dziwne dziecko!” – mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukiet. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała na powrót w bukiet, włożyła go w szklaną wodę i usiadłszy w swoim oknie rzekła:

– Prawda, mamo, że tu jest smutno...

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrział na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka oparłszy głowę na rękę położyła się prawie na wznak w swoim oknie – i – szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

– Ona nie widzi! – szepnął mecenas opuszczając binokle. W tej chwili doświadczył klucia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidoma od dwu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę; przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc.

Pojono ją winem i bulionami, więc stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego dnia, kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki:

– Mamo, czy to jest noc?...

– Nie, moje dziecko... A dlaczego ty tak mówisz?

Ale dziewczynka nie odpowiedziała: spać się jej chciało... Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

– Czy to jeszcze jest noc?...

Wtedy zrozumiano, że dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać.

Ale chora, im bardziej odzyskiwała siły, tym mocniej niepokoiła się swoim kalectwem...

– Mamo, dlaczego ja mam nie widzieć?...

– Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie.

– Kiedy przejdzie?...

– Niedługo.

– Może jutro, proszę mamy?

– Za kilka dni, moja dziecińo.

– A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!...

Mijały dni i tygodnie w ciągłym oczekiwaniu. Dziewczynka poczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju omackiem; sama ubierała się i rozbierała powoli i ostrożnie.

Ale wzrok jej nie wracał.

Jednego razu mówiła:

– Prawda, mamo, że ja mam niebieską sukienkę?...

– Nie, dziecko, masz popielatą.

– Mama ją widzi?

– Widzę, moje kochanie.

– Tak jak i w dzień?

– Tak.

– Ja także będę widziała wszystko za kilka dni?...

Nie, może za miesiąc...

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

– Prawda, mamó, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?... Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnymi łapami?... Prawda, mamó, że ja widziałam siebie w lustrze?... Nie ma tu lustra?...

Matka podaje jej lusterko.

– Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie – mówiła dziewczynka przykładając lustro do twarzy. – Nic nie widzę! – rzekła – Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

– Widzę cię, moja ptaszyno.

– Jakim sposobem?... – zawołała dziewczynka żałośnie. – Przecie jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic...

– A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?...

Ale matka rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszym zajęciem kaleki było dotykać rękoma drobnych przedmiotów i poznawać je.

Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową, ładnie ubraną, za rubla. Dziewczynka nie wypuszczała jej z rąk, dotykała jej noska, ust, oczu, pieściła się nią.

Poszła spać bardzo późno, wciąż myśląc o swej lalce, którą ułożyła w pudełku wysłanym wata.

W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kąciку swoją córkę, już ubraną i bawiącą się lalką.

– Co ty robisz, dziecino? – zawołała. – Dlaczego nie śpisz?

– Bo już przecie jest dzień, proszę mamy – odparła kaleka.

Dla niej dzień i noc zlały się w jedno i trwały zawsze...

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń poczęła zacierać się w dziewczynce. Czerwona wiśnia stała się dla niej wiśnią gładką, okrągłą i miękką, błyszczącą

pieniądz był twardym i dźwięcznym krążkiem, na którym znajdowały się jakieś znaki w płaskorzeźbie. Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś – skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że zbliżywszy się do ściany, czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach.

Poznawała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała, kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy – dorożka, a kiedy – kary wywożące śmiecie.

Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. Z niepojętą bystrością pochwytywała drobne te zjawiska i wysnuwała z nich wnioski.

Raz matka zawołała służącą.

– Nie ma Janowej – rzekła kaleka siedząc jak zwykle w kąciaku. – Poszła po wodę.

– A skąd wiesz o tym? – zapytała zdziwiona matka.

– Skąd?... Przecież wiem, że brała konewkę z kuchni, potem poszła na drugie podwórze i napompowała wody. A teraz rozmawia ze stróżem.

Istotnie zza parkanu dolatywał szmer rozmowy dwu osób, ale tak niewyraźny, że tylko z wysiłkiem można go było usłyszeć.

Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów niższych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka uczuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu i to ją nieco uspakajało. Wydeptała każdy kamień na podwórzu, dotknęła każdej rynny i beczki. Ale największą przyjemność robiły jej – podróże do dwu całkiem odmiennych światów: do piwnicy i na strych.

W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne. Przygłuszony turkot uliczny dolatywał z góry; inne odgłosy niknęły. To była noc dla ociemniałej.

Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działa się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej niż w pokoju. Kaleka słyszała turkot wozów z kilku ulic: tu skupiały się krzyki z całego domu. Twarz jej owiewał ciepły wiatr. Słyszała świergot ptaków, szczekanie psów i szelest drzew w sąsiednim ogrodzie. Tu był dla niej dzień...

Nie dość na tym. Na strychu częściej niż w pokoju świeciło słońce, a gdy dziewczynka skierowała na nie przygasłe oczy, zdawało jej się, że coś widzi. W wyobraźni budziły się cienie kształtów i barw, ale takie niewyraźne i pierzchliwe, że nic przypomnieć sobie nie mogła...

W tej właśnie epoce matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, w którym mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwym nieszczęściem.

Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy nie wolno było chodzić. Nie słyszała ptaków ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza. Nigdy tu nie wstępowali handlarze starzyzny ani druciarze, ani śmieciarki. Nie puszczano bab śpiewających pieśni pobożne ani dziada, który grał na klawecie, ani kataryniarzy.

Jedyną jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecież nie zawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami.

Dziewczynka znowu poczęła tęsknić. Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.

Nie mogąc widzieć, kaleka chciała przynajmniej słuchać wciąż najrozmaitszych odgłosów. A w domu było cicho...

– Biedne dziecko! – szeptał nieraz pan Tomasz przypatrując się smutnemu maleństwu.

„Gdybym mógł dla niej coś zrobić?” – myślał widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i co dzień niknie.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i jak zwykle oddał mu do przejrzenia papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale jako doświadczony praktyk umiał wskazać najwłaściwszy kierunek akcji i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz im więcej wczytywał się w papiery, tym bardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonach, tylko zamknięty w swoim gabinecie czytał dokumenty i notował.

Wieczorem stary lokaj mecenasa przyszedł z codziennym raportem. Doniósł, że pani doktorowa wyjechała z dziećmi na letnie mieszkanie, że zepsuł się wodociąg, że odźwierny Kazimierz zrobił awanturę ze stójkowym i poszedł na tydzień – do kozy. Zapytał w końcu: czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem?...

Ale mecenas, pochylony nad papierami, palił cygaro, puszczał kółka dymu, a na wiernego sługę nawet nie spojrzał.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Jego rumiana twarz i szpakowate faworyty na szafirowym tle pokojowego obicia przypominały „studia z natury”. Matka ociemniałej dziewczynki i jej współniczka robiąca pończochy na maszynie podziwiała

mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj od rana do wieczora drzemać nad biurkiem.

Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Obywatel X w roku 1872 zapisał swemu siostrzeńcowi folwark, a w roku 1875 – synowcowi kamienicę. Synowiec twierdził, że obywatel X był wariatem w roku 1872, a siostrzeniec dowodził, że X oszalał dopiero w roku 1875. Zaś mąż rodzonej siostry nieboszczyka składał nie ulegające wątpliwości świadectwa, że X i w roku 1872, i w 1875 działał jak obłąkany, a cały swój majątek jeszcze w roku 1869, czyli w epoce zupełnej świadomości, zapisał siostrze.

Pana Tomasza proszono o zbadanie, kiedy naprawdę X był wariatem, a następnie o pogodzenie trzech poważnionych stron, z których żadna nie chciała słuchać o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samym oknem pana Tomasza, odezwała się katarynka!...

Gdyby zmarły X wstał z grobu, odzyskał przytomność i wszedł do gabinetu, aby pomóc mecenasowi w rozwiązywaniu trudnych zagadnień, z pewnością pan Tomasz nie doznałby takiego uczucia jak teraz, gdy usłyszał katarynkę!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnymi tonami fletowymi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! Jakby na większą szykanę katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba, od czasu do czasu odzywająca się w niej, ryczała jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był

przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacjom.

Ale nie, to nie były halucynacje. To była rzeczywistość katarynka, z popsutymi piszczałkami i bardzo głośną trąbą!

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem daho-mejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem!

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnym uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył jak tygrys do okna i postanowił – zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: „Ty... próżniaku jakiś!...” – gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknym zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasa mało nie przyprawiła o apopleksję.

Na dobitkę, kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk i od czasu do czasu pogwizdywać niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! Jak on ślicznie gwizdał...

Do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj ciągnąc za sobą stróża i wołając:

– Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów.

– No, teraz posłuchaj – krzyczał lokaj targając za ramię oszołomionego stróża – posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę tak fałszywie i wrzaskliwie jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę błądy:

– Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

– Paweł, jaśnie panie.

– Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

– Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! – wtrącił śpiesznie lokaj.

– Nie – rzekł pan Tomasz. – Za to, ażebyś przez jakiś czas co dzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

– Co pan mówi?... – zawołał służący, którego nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

– Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał co dzień katarynki na podwórze – powtórzył mecenas wsadzając ręce w kieszenie.

– Nie rozumiem pana!... – odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

– Głupiś, mój kochany! – rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

No, idźcie do roboty – dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło...

Pan Tomasz uśmiechnął się i jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa wyrzucił kataryncę dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniej, co już okrutnie drażniło mecenasą, więc zabrawszy kartkę z adresami doktorów wyszedł mrucząc:

– Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się nim od dawna...

ANTEK

Antek urodził się we wsi nad Wisłą.

Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadziste, porośnięte sosnowym lasem, a od południa wzgórza garbate, zasypane leszczyną, tarniną i głógiem. Tam najgłośniej śpiewały ptaki i najczęściej chodziły wiejskie dzieci rwać orzechy albo wybierać gniazda.

Kiedys stanął na środku wsi, zdawało ci się, że oba pasma gór biegną ku sobie, ażeby zetknąć się tam, gdzie z rana wstaje czerwone słońce. Ale było to złudzenie.

Za wsią bowiem ciągnęła się między wzgórzami dolina przecięta rzeczułką i przykryta zieloną łąką.

Tam pasano bydłatka i tam cienkonogie bociany chodziły polować na żaby kukające wieczorami.

Od zachodu wieś miała tamę, za tamą Wisłę, a za Wisłą znowu wzgórza wapienne, nagie.

Każdy chłopski dom, szarą słomą pokryty, miał ogródek, a w ogródku śliwki węgierki, spomiędzy których widać było komin sadzą uczerniony i pożarną drabinkę. Drabiny te zaprowadzono nie od dawna, a ludzie myśleli, że one lepiej chronić będą chaty od ognia niż dawniej bocianie gniazda. Toteż gdy płonął jaki budynek, dziwili się bardzo, ale go nie ratowali.

– Widać, że na tego gospodarza był dopust boski – mówili między sobą. – Spalił się, choć miał przecie nową drabinę i choć zapłacił śtraf za starą, co to były u niej połamane szczeble.

W takiej wsi urodził się Antek. Położyli go w niemalowanej kołysce, co została po zmarłym bracie, i sypiał w niej przez dwa lata. Potem przyszła mu na świat siostra, Rozalia, więc musiał jej miejsca ustąpić, a sam, jako osoba dorosła, przenieść się na ławę.

Przez ten rok kołysał siostrę, a przez cały następny – rozglądał się po świecie. Raz wpadł w rzekę, drugi raz dostał batem od przejezdnego furmana za to, że go o mało konie nie stratowały, a trzeci raz psy tak go pogryzły, że dwa tygodnie leżał na piecu. Doświadczył więc niemało. Za to w czwartym roku życia ojciec podarował mu swoją sukienną kamizelkę z mosiężnym guzikiem, a matka – kazała mu siostrę nosić.

Gdy miał pięć lat, użyto go już – do pasania świń. Ale Antek nie bardzo się za nimi oglądał. Wolał patrzeć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapiennym wzgórzem raz na raz pokazywało się coś wysokiego i czarnego. Wyłaziło to z lewej strony jakby spod ziemi, szło w górę i upadało na prawo. Za tym pierwszym szło zaraz drugie i trzecie, takie samo czarne i wysokie.

Tymczasem świnię swoim obyczajem wlażyły w kartofle. Matka spostrzegłszy to zawinęła się wedle sukiennej kamizelki Antkowej, tak że chłopiec prawie tchu nie mógł złapać. Ale że nie miał w sercu zawziętości, bo było z niego dziecko dobre, więc wykrzyczawszy się i wydrapawszy – kamizelkę, zapytał matki:

– Matulu! A co to takie czarne chodzi za Wisłą?

Matka spojrzała w kierunku Antkowego palca, przysłoniła oczy ręką i odparła:

– Tam za Wisłą? Cóż to, nie widzisz, że wiatrak chodzi? A na drugi raz pilnuj świń, bo cię pokrzywami wysmaruję.

– Acha, wiatrak! A co on, matulu, za jeden?

– At, głupiś! – odparła matka i uciekła do swojej roboty. Gdzie ona miała czas i rozum do udzielania objaśnień o wiatrakach!

Ale chłopcu wiatrak spokojności nie dawał. Antek widywał go przecie co dzień. Widywał go i w nocy przez sen. Więc taka straszna urosła w chłopcu ciekawość, że jednego dnia zakradł się do promu, co ludzi na drugą stronę rzeki przewoził, i popłynął za Wisłę.

Popłynął, wdrapał się na wapienną górę, akurat w tym miejscu, gdzie stało ogłoszenie, aby tędy nie chodzić, i zobaczył wiatrak. Wydał mu się budynek ten jakby dzwonnica, tylko w sobie był grubszy, a tam gdzie na dzwonnicy jest okno, miał cztery tęgie skrzydła ustawione na krzyż. Z początku nie rozumiał nic – co to i na co to? Ale wnet objaśnili mu rzecz pastuchowie, więc dowiedział się o wszystkim. Naprzód o tym, że na skrzydła dmucha wiatery i kręci nimi jak liśćmi. Dalej o tym, że w wiatraku miele się zboże na mąkę, i nareszcie o tym, że przy wiatraku siedzi młynarz, co żonę bije, a taki jest mądry, że wie, jakim sposobem ze śpichrzów wyprowadza się szczury.

Po takiej pogładowej lekcji Antek wrócił do domu tą samą drogą co pierwiej. Dali mu tam przewoźnicy parę razy w łeb za swoją krwawą pracę, dała mu i matka coś na sukienną kamizelkę, ale to nic: Antek był kontent, bo zaspokoił ciekawość. Więc choć położył się spać o głodzie, marzył całą noc to o wiatraku, co mieli zboże, to o młynarzu, co bije żonę i szczury wyprowadza ze śpichrzów.

Drobny ten wypadek stanowczo wpłynął na całe życie chłopca. Od tej pory – od wschodu do zachodu słońca – strugał on patyki i układał je na krzyż. Po tem wystrugał sobie kolumnę; próbował, obciosywał,

ustawiał, aż nareszcie wybudował mały wiatraczek, który na wietrze obracał mu się jak tamten za Wisłą.

Cóż to była za radość! Teraz brakowało Antkowi tylko żony, żeby mógł ją bić, i już byłby z niego prawdziwy młynarz!

Do dziesiątego roku życia zepsuł ze cztery koziki, ale też strugał nimi dziwne rzeczy. Robił wiatraki, płoty, drabiny, studnie, a nawet całe chałupy. Aż się ludzie zastanawiali i mówili do matki, że z Antka albo będzie majster, albo wielki gałgan.

Przez ten czas urodził mu się jeszcze jeden brat, Wojtek, siostra podrosła, a ojca drzewo przytłukło – w lesie.

W chacie była z Rozalią wielka wygoda. Dziewczyna zimą zamiatała izbę, nosiła wodę, a nawet potrafiła krupnik ugotować. Latem posyłano ją do bydła z Antkiem, bo chłopak zajęty struganiem nigdy się nie dopilnował. Co go nie nabili, nie naprosili, nie napłakali się nad nim. Chłopak krzyczał, obiecywał, płakał nawet razem z matką, ale robił swoje, a bydło wciąż w szkodę wchodziło.

Dopiero gdy siostra razem z nim pasła, było lepiej: on strugał patyki, a ona pilnowała krów.

Nieraz matka widząc, że dziewczucha, choć młodsza, ma więcej rozumu i chęci aniżeli Antek, załamywała z żalu ręce i lamentowała przed starym kumem, Andrzejem:

– Co ja pocznę, nieszczęsna, z tym Antkiem odmieńcem? Ani to w chacie nic nie robi, ani bydła doglądnie, ino wciąż kraje te patyki, jakby co w niego wstąpiło. Już z niego, mój Andrzej, nie będzie chyba gospodarz ani nawet parobek, tylko darmożjad na śmiech ludziom i obrazę boską!...

Andrzej, który za młodu praktykował flisactwo i dużo świata widział, tak pocieszał strapioną wdowę:

– Jużci, gospodarzem on nie będzie, to darmo, bo on na to nie ma nawet dobrego rozumu. Jego by zatem

trza naprzód do szkoły, a potem do majstra. Nauczy się z książki, nauczy się rzemiosła i jeżeli nie zgałganie, będzie żył.

Na to wdowa odpowiedziała, wciąż łamiąc ręce:

– Oj, kumie, co wy też gadacie. A czy to nie wstyd gospodarskiemu dziecku rzemiosła się imać i byle komu na obstalunek robotę robić?

Andrzej puścił dym z drewnianej fajeczki i rzekł:

– Jużci, że wstyd, ale rady na to nie ma nijakiej.

Potem, zwracając się do Antka siedzącego na podłodze przy ławie, zapytał:

– No gadaj, wisus, czym ty chcesz być? Gospodarem czy u majstra?

A Antek na to:

– Ja będę stawiał wiatraki, co zboże mialą.

I odpowiadał tak zawsze, choć nad nim kiwano głowami, a jak czasem to i miotłą.

Miał już dziesięć lat, kiedy pewnego razu ósmioletnia wówczas siostra jego, Rozalia, strasznie zaniemogła. Jak się położyła z wieczora, to się jej na drugi dzień dobudzić było trudno. Ciało miała gorące, oczy błędne i gadała od rzeczy.

Matka z początku myślała, że dziewczyna przyczała się, dała jej więc parę szturchańców. Ale gdy to nie pomogło, wytarła ją gorącym octem, a na drugi dzień napoiła wódką z piołunem. Wszystko na nic, a nawet gorzej, bo po wódce wystąpiły na dziewczuchę sine plamy. Wtedy wdowa przetrząsnawszy szmaty, jakie tylko były w skrzyni i w komorze, wybrała sześć groszy i wezwała na ratunek Grzegorzową, wielką znachorkę.

Mądra baba obejrzała chorą uważnie, opluła koło niej podłogę jak należy, posmarowała ją nawet sadłem, ale – i to nie pomogło.

Wtedy rzekła do matki:

– Napalcie, kumo, w piecu do chleba. Trza dziewczynie zadać na dobre poty, to ją odejdzie.

Wdowa napaliła w piecu jak się patrzy i wygarnęła węgle czekając dalszych rozkazów.

– No, teraz – rzekła znachorka – położyć dziewczuchę na sosnowej desce i wsadzić ją w piec na trzy zdrowaśki. Ozdrowieje wnet, jakby kto ręką odjął!

Istotnie, położono Rozalię na sosnowej desce (Antek patrzył na to z rogu izby) i wsadzono ją, nogami naprzód, do pieca.

Dziewczyna, gdy ją gorąco owiało, ocknęła się.

– Matulu, co wy ze mną robicie? – zawołała.

– Cicho, głupia, to ci przecie wyjdzie na zdrowie.

Już ją wsunęły baby do połowy; dziewczyna poczęła się rzucać jak ryba w sieci. Uderzyła znachorkę, schwyciła matkę obu rękami za szyję i wniebogłosy krzyczała:

– A dyc wy mnie spalicie, matulu!...

Już ją całkiem wsunięto, piec założono deską i baby poczęły odmawiać trzy zdrowaśki...

– Zdrowaś, Panno Mario, łaski pełna...

– Matulu! matulu moja!... – jęczała nieszczęśliwa dziewczyna. – O matulu!...

– Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami...

Teraz Antek podbiegł do pieca i schwycił matkę za spódnicę.

– Matulu! – zawołał z płaczem – a dyc ją tam na śmierć zaboli!...

Ale tyle tylko zyskał, że dostał w łeb, ażeby nie przeszkadzał odmawiać zdrowasiek. Jakoś i chora przestała bić w deskę, rzucać się i krzyczeć. Trzy zdrowaśki odmówiono, deskę odstawiono.

W głębi pieca leżał trup ze skórą czerwoną, gdzieś niedzie oblażłą.

– Jezu! – krzyknęła matka ujrzawszy dziewczynę niepodobną do ludzi.

I taki ogarnął ją żal za dzieckiem, że ledwie pomogła znachorce przenieść zwłoki na tapczan. Potem

ukłękła na środku izby i, bijąc głową w klepisko, wołała:

– Oj, Grzegorzowa!... A cóż wyście najlepszego zrobili!...

Znachorka była markotna.

– Et!... Cicho byście lepiej byli... Wy może myślicie, że dziewczuszyko od gorąca tak szczerwieniało? To tak z niej choroba wylazła, ino że trochę za prędko, więc i umorzyła niebogę. To wszystko przecie z mocy boskiej.

We wsi nikt nie wiedział o przyczynie śmierci Rozalii. Umarła dziewczucha – to trudno. Widać, że już tak było przeznaczone. Alboż to jedno dziecko co rok we wsi umiera, a przecie zawsze ich jest pełno.

Na trzeci dzień włożono Rozalię w świeżo zheblowaną trumienkę z czarnym krzyżem, trumnę ustawiono w gnojownicach i powieszono dwoma wołami za wieś, tam gdzie nad zapadniętymi mogiłami czuwają spróchniałe krzyże i białokore brzozy. Na nierównej drodze trumienka skrzywiła się trochę na bok, a Antek, trzymający się fałdów spódnicy matczynej, idąc za wozem myślał:

„Musi tam być źle Rozalce, kiedy się tak poprawia i na bok przewraca!...”

Potem – pokropił ksiądz trumnę święconą wodą, czterech parobków spuściło ją na szalach do grobu, przywaliło ziemią – i tyle wszystkiego.

Wzgórza z lasem szumiącym i te, na których krzaki rosły, zostały tam, gdzie były. Pastusi jak dawniej grali na fujarkach w dolinie i życie szło, wciąż szło swoją koleją, choć we wsi nie stało jednej dziewczuchy.

Przez tydzień mówiono o niej, potem zapomniano i opuszczono świeży grób, na którym tylko wiatr wzdychał i świergotały polne koniki.

A jeszcze potem spadł śnieg i nawet koniki wystraszył.

W zimie gospodarskie dzieci chodziły do szkoły. A że z Antka nie spodziewała się matka żadnej pomocy w gospodarstwie, raczej zawadę, więc poradziwszy się kuma Andrzeja postanowiła oddać chłopca na naukę.

– A czy mnie we szkole nauczą wiatraki budować? – pytał Antek.

– Oho! Nauczą cię nawet w kancelarii pisać, byleś ino był chętny.

Wzięła tedy wdowa czterdzieści groszy w węzełek, chłopca w garść i ze strachem poszła do nauczyciela. Wszedłszy do izby zastała go, jak sobie łątał stary kożuch. Pokłoniła mu się do nóg, doręczyła przyniesione pieniądze i rzekła:

– Kłaniam się też panu profesorowi i ślicznie proszę, żeby mi wielmożny pan tego oto wisusa wziął do nauki, a ręki na niego nie żałował, jak rodzony ojciec...

Wielmożny pan, któremu słoma wyglądała z dziurawych butów, wziął Antka pod brodę, popatrzył mu w oczy i poklepał.

– Ładny chłopak – rzekł. – A co ty umiesz?

– Jużci prawda, że ładny – pochwyciła zadowolona matka – ale musi, że chyba nic nie umie.

– Jakże więc, wy jesteście jego matką i nie wiecie, co on umie i czego się nauczył? – spytał nauczyciel.

– A skąd bym ja miała wiedzieć, co on umie? Przecie ja baba, to mi do tych rzeczy nic. A co uczył się on, niby mój Antek, to wiem, że uczył się bydło paść, drwa szczypać, wodę ze studni ciągnąć i chyba już nic więcej.

W taki sposób zainstalowano chłopca do szkoły. Ale że matce żal było wydanych czterdziestu groszy, więc dla uspokojenia się zebrała pod domem paru sąsiadów i radziła się ich, czy to dobrze, że Antek będzie chodzić do szkoły i że taki wydatek na niego poniosła.

– Te!... – odezwał się jeden z gospodarzy – niby to nauczycielowi z gminy się płaci, więc na upartego moglibyście mu nic nie dawać. Ale zawsze on się upomina, a takich, co nie płacą mu osobno, gorzej uczy.

– A dobry też z niego profesor?

– No, niczego!... On niby, jak z nim gadać, to taki jest trochę głupowaty, ale uczy – jak wypada. Mój przecie chłopak chodzi do niego dopiero trzeci rok i już zna całe abecadło – z góry na dół i z dołu do góry.

– E! Cóż to znaczy abecadło – odezwał się drugi gospodarz.

– Jużci, że znaczy – rzekł pierwszy. – Nibyście to nie słyszeli, co nieraz nasz wójt powiadają: „Żebyś ja choć umiał abecadło, to bym z takiej gminy miał dochodu więcej niż tysiąc rubli, tyle co pisarz!”

W parę dni potem Antek poszedł pierwszy raz do szkoły. Wydała mu się taka prawie porządna jak ta izba w karczmie, co w niej szynkwas stoi, a ławki były w niej jedna za drugą jak w kościele. Tylko że piec pękł i drzwi się nie domykały, więc trochę ziębiło. Dzieci miały czerwone twarze i ręce trzymały w rękawach – nauczyciel chodził w kożuchu na sobie i w baraniej czapce na głowie. A po kątach szkoły siedział biały mróz i wytrzeszczał na wszystko iskrzące ślepie.

Usadzono Antka między tymi, co nie znali jeszcze liter, i zaczęła się lekcja.

Antek, upomniany przez matkę, ślubował sobie, że musi się odznaczyć.

Nauczyciel wziął kredę w skostniałe palce i na zdezelowanej tablicy napisał jakiś znak.

– Patrzcie, dzieci! – mówił. – Tę literę spamiętać łatwo, bo wygląda tak, jakby kto kozaka tańczył, i czyta się A. Cicho tam, osły!... Powtórzcie: a... a... a...

– A!... a!... a!... – zawołali chórem uczniowie pierwszego oddziału.

Nad ich piskiem górował głos Antka. Ale nauczyciel nie zauważył go jeszcze.

Chłopca trochę to ubodło; ambicja jego została po-
drażniona.

Nauczyciel wyrysował drugi znak.

– Tę literę – mówił – zapamiętać jeszcze łatwiej, bo
wygląda jak precel. Widzieliście precel?

– Wojtek widział, ale my to chyba nie... – odezwał
się jeden.

– No, to pamiętajcie sobie, że precel jest podobny do
tej litery, która nazywa się B. Wołajcie: be! be!

Chór zawołał: be! be! – ale Antek tym razem rze-
czywiście się odznaczył. Zwinął obie ręce w trąbkę
i beknął jak roczne ciele.

Śmiech wybuchnął w szkole, a nauczyciel aż za-
trząśł się ze złości.

– Hę – krzyknął do Antka. – Toś ty taki zuch? Ze
szkoły robisz cieletnik? Dajcie go tu na rozgrzewkę.

Chłopiec ze zdziwienia aż osłupiał, ale nim się upa-
miętał, już go dwaj najsilniejsi ze szkoły chwycili pod
ramiona, wyciągnęli na środek i położyli.

Jeszcze Antek niedobrze zrozumiał, o co chodzi,
gdy nagle uczuł kilka tęgich razów i usłyszał prze-
strogę:

– A nie becz, hultaju! A nie becz!

Puścili go. Chłopiec otrząsnął się jak pies wydobyty
z zimnej wody i poszedł na miejsce.

Nauczyciel wyrysował trzecią i czwartą literę, dzie-
ci nazywały je chórem, a potem nastąpił egzamin.

Pierwszy odpowiadał Antek.

– Jak się ta litera nazywa? – pytał nauczyciel.

– A! – odparł chłopiec.

– A ta druga?

Antek milczał.

– Ta druga nazywa się be. Powtórz, ośle!

Antek znowu milczał.

– Powtórz, ośle, be!

– Albo ja głupi! – mruknął chłopiec, dobrze pamię-
tając, że w szkole beczeć nie wolno.

– Co, hultaju jakiś, jesteś hardy? Na rozgrzewkę go!...

I znowu ci sami co pierwszej koledzy pochwycili go, położyli, a nauczyciel udzielił mu taką samą liczbę prętów, ale już z upomnieniem:

– Nie bądź hardy!... Nie bądź hardy!...

W kwadrans później zaczęła się nauka oddziału wyższego, a niższy poszedł na rekreację, do kuchni profesora. Tam jedni pod dyktando gospodyni skrobali kartofle, drudzy nosili wodę, inni pokarm dla krowy, i na tym zajęciu upłynął im czas do południa.

Kiedy Antek wrócił do domu, matka zapytała go:

– A co? Uczyłeś się?

– Uczyłem.

– A dostałeś?

– O, jeszcze jak! Dwa razy.

– Za naukę?

– Nie, ino na rozgrzewkę.

– Bo widzisz, to początek. Dopiero później będziesz brał i za naukę! – pocieszyła go matka.

Antek zamyślił się frasobliwie.

„Ha, trudno – rzekł w duchu. – Bije, bo bije, ale przynajmniej pokaże, jak się wiatraki stawiają.”

Od tej pory dzieci najniższego oddziału uczyły się wciąż czterech pierwszych liter, a potem szły do kuchni i na podwórze pomagać profesorskiej gospodyni. O wiatrakach mowy nie było.

Jednego dnia na dworze mróz był lżejszy, profesorowi także jakoś serce odtajało, więc chciał wytłumaczyć najmłodszym swoim wychowankom pożytek pisma.

– Patrzcie, dzieci – mówił pisząc na tablicy wyraz dom – jaka to mądra rzecz pisanie. Te trzy znaczki takie małe i tak niewiele miejsca zajmują, a jednak oznaczają – dom. Jak tylko na ten wyraz popatrzysz, to zaraz widzisz przed oczami cały budynek, drzwi, okna, sień, izby, piece, ławy, obrazy na ścianach,

krótko mówiąc – widzisz dom ze wszystkim, co się w nim znajduje.

Antek przecierał oczy, wychylał się, oglądał napisany na tablicy wyraz, ale domu żadnym sposobem zobaczyć nie mógł. Wreszcie trącił swego sąsiada i spytał:

– Widzisz ty tę chałupę, co o niej profesor gadają?

– Nie widzę – odparł sąsiad.

– Musi to chyba być łgarstwo! – zakonkludował Antek.

Ostatnie zdanie usłyszał nauczyciel i krzyknął:

– Jakie łgarstwo? Co łgarstwo?

– A to, że na tablicy jest dom. Przecie tam jest ino trochę kredy, ale domu nie widno – odparł naiwnie Antek.

Nauczyciel porwał go za ucho i wyciągnął na środek szkoły.

– Na rozgrzewkę go! – zawołał i znowu powtórzyła się z najdrobniejszymi szczegółami dobrze już chłopakowi znana ceremonia.

Gdy Antek wrócił do domu czerwony, splakany i jakoś nie mogący znaleźć miejsca, matka znowu go zapytała:

– Dostałeś?

– A może matula myśla, że nie? – stęknął chłopiec.

– Za naukę?

– Nie za naukę, ino na rozgrzewkę!

Matka machnęła ręką.

– Ha! – rzekła po namyśle – musisz jeszcze poczekać, to ci tam kiedy dadzą i za naukę.

A potem, dokładając drew do ognia na kominie, mruczała sama do siebie:

– Tak to zawsze wdowie i sierocie na tej ziemi doczesnej! Żebym ja profesorowi miała dać z pół rubla, a nie czterdzieści groszy, to by mi chłopca od razu wziął. A tak, baraszkuje sobie z nim, i tyle.

A Antek słysząc to myślał:

„No, no! Jeżeli on tak baraszkuje ze mną, to dopiero będzie, jak mnie uczyć zaczniesz!”

Na szczęście czy nieszczęście obawy chłopca nie miały się nigdy ziścić.

Jednego dnia, było to już we dwa miesiące po wstąpieniu Antka do szkoły, przyszedł do jego matki nauczyciel i po zwykłych przywitaniach zapytał:

– Jakże, moja kobieto, będzie z waszym chłopakiem? Daliście za niego czterdzieści groszy, ale na początku, i już trzeci miesiąc idzie, a ja szeląga więcej nie widzę. To się tak przecie nie godzi; płacieć choć i po czterdzieści groszy, ale co miesiąc.

A wdowa na to:

– Skądże ja wezmę, kiedy nie mam! Co jaki grosz zarobię, to wszystko idzie do gminy. Nawet dzieciakom szmaty nie ma za co kupić.

Nauczyciel wstał z ławy, nałożył czapkę w izbie i odparł:

– Jeżeli tak, to Antek nie ma po co chodzić do szkoły. Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka jak moja to nie dla biedaków.

Zabrał się i wyszedł, a wdowa patrząc za nim myślała:

„Jużci prawda. Jak świat światem, to ino pańskie dzieci chodziły do nauki. A gdzie zaś prosty człowiek mógłby na to wystarczyć!...”

Zawołała znowu kuma Andrzeja na naradę i poczęli oboje egzaminować chłopca.

– Cóż się ty, wisusie, nauczył przez te dwa miesiące? – pytał go Andrzej. – Przecie matka wydali na cię czterdzieści groszy...

– Jeszcze jak! – wtrąciła wdowa.

– Com się tam miał nauczyć! – odparł chłopiec. – Kartofle skrobią się tak we szkole, jak i w domu, świniom tak samo daje się jeść. Tyle tylko, że parę razy profesorowi buty wyczyścił. Ale za to porwali na mnie odzienie przy tych tam... rozgrzewkach...

– No, a z nauki toś nic nie połapał?

– Kto tam co połapie! – mówił Antek. – Jak nas uczy po chłopsku – to łże. Napisze se na tablicy jakiś znak i mówi, że to dom z izbą, sienią, z obrazami. Człowiek przecie ma oczy i widzi, że to nie jest dom. A jak nas uczy po szkolnemu, to kat go zrozumie! Jest tam paru starszych, co po szkolnemu pieśni śpiewają, ale młodszy to dobrze, jak się trochę kłąć nauczy...

– Ino kiedy spróbuj gadać tak paskudnie, to ja ci dam! – wtrąciła matka.

– No, a do gospodarstwa nigdy, chłopaku, nie nabierzesz ochoty? – spytał Andrzej.

Antek pocałował go w rękę i rzekł:

– Poślijcie mnie już tam, gdzie uczą budować wiatraki.

Starzy jak na komendę wzruszyli ramionami.

Nieszczęsny wiatrak, po drugiej stronie Wisły miełący zboże, tak ugrzązł w duszy chłopca, że go już stamtąd żadna siła wydobyć nie mogła.

Po długiej naradzie postanowiono czekać. I czekać.

Upływał tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, nareszcie chłopak doszedł do dwunastu lat, ale w gospodarstwie wciąż niewielkie oddawał usługi. Strugał swoje patyki, a nawet rzeźbił cudackie figury. I dopiero gdy mu się kozik zepsuł, a matka na nowy nie dawała pieniędzy, wynajmował się do roboty. Jednemu nocą koni na łące pilnował, zatopiony w siwej mgłę wieczornej i zapatrzony na gwiazdy; innemu woły prowadził przy orce: czasem poszedł do lasu, po jagody lub grzyby i sprzedawał szynkarzowi Mordce za kilka groszy cały kosz.

W chacie im się nie wiodło. Gospodarstwo bez chłopca to jak ciało bez duszy; a wiadomo, że ojciec Antka już od kilku lat wypoczywał na tym wzgórzu, gdzie przez żywopłot czerwonymi jagodami okryty spoglądają na wioskę smutne krzyże.

Wdowa do obrządzenia roli najmowała parobka, resztę pieniędzy musiała odnosić do gminy, a dopiero za to, co zostało, karmić siebie i chłopców.

Jadali też co dzień barszcz z chleba i kartofle, czasem kaszę i kluski, rzadziej groch, a mięso – chyba tylko na Wielkanoc. Niekiedy i tego w chacie nie stało, a wówczas wdowa, nie potrzebując pilnować komina, łątała synom sukmanki. Mały Wojtek płakał, a Antek z nudów w porze obiadowej łapał muchy i po takiej uczcie znowu szedł na dwór do strugania swoich drabin, płotów, wiatraków i świętych. Bo także wystrugiwał i świętych, co prawda na początek bez twarzy i rąk.

Nareszcie kum Andrzej, wierny przyjaciel osieroczonej rodziny, wyrobił Antkowi miejsce u kowala, w drugiej wsi. Jednej niedzieli poszli tam z wdową i chłopcem. Kowal przyjął ich niezgorzej. Wypróbował chłopca w rękach i krzyżu, a widząc, że na swój wiek jest wcale mocny, przyjął go do terminu bez zapłaty i tylko na sześć lat.

Straszno i smutno było chłopcu patrzeć, jak płacząca matka i stary Andrzej pożegnawszy jego i kowala skryli się już za sadami idąc z powrotem do domu. Było mu jeszcze smutniej, kiedy spał pierwszą noc pod cudzym dachem, w stodółce, między nieznanymi sobie chłopakami kowala, którzy zjedli jego kolację i jeszcze dali mu do snu parę kułaków na zadatek dobrej przyjaźni.

Ale kiedy na drugi dzień rano ze świtem poszli gromadą do kuźni, gdy rozniecili ognisko, Antek począł dąć pękatym miechem, a inni, śpiewając z majstrem. Kiedy ranne wstają zorze, poczęli kuć młotami rozpalone żelazo – w chłopcu zbudził się jakby nowy duch. Dźwięk metalu, rytmiczny huk, pieśń, której aż las odpowiadał echem – wszystko to upoiło chłopca... Zdaje się, że w sercu jego aniołowie niebiescy naciągnęli kilka strun nie znanych innym chłopskim

dzieciom i że struny te odezwały się dopiero dziś przy sapaniu miecha, tętnieniu młotów i pryskających z żelaza iskrach.

Ach, jaki by z niego był dziarski kowal, a może i co więcej... Bo chłopak, choć nowa robota podobała mu się okrutnie, wciąż myślał o swoich wiatrakach.

Kowal, dzisiejszy opiekun Antka, był człowiek nija-ki. Kuł żelazo i piłował je ani źle, ani dobrze. Czasami walił chłopców, aż puchli, a najczęściej dbał o to, żeby się zbyt prędko nie wyuczyli kunsztu. Bo taki młodzik wyszedłszy z terminu mógłby pod boki swemu rodzonemu majstrowi kuźnię założyć i zmusić go do staranniejszej roboty!...

A trzeba wiedzieć, że majster miał jeszcze jeden obyczaj.

Na drugim końcu wsi mieszkał wielki przyjaciel kowala – sołtys, który w zwykłe dni prawie nie odchodził od pracy, ale gdy mu co kapnęło z urzędu, rzucał gospodarstwo i szedł do karczmy mimo kuźni. Bywało tego raz albo i dwa razy na tydzień.

Idzie sobie tedy sołtys z zapracowanym na urzędzie groszem pod sosnową wiechę i niechcący zbacza do kuźni.

– Pochwalony! – woła do kowala stojąc za progiem.

– Pochwalony! – odpowiada kowal. – A jak tam w polu?

– Niczego – mówi sołtys. – A jak u was w kuźni?

– Niczego – mówi kowal. – Chwała Bogu, żeście choć aby raz wyleźli z chałupy.

– A tak – odpowiada sołtys. – Takem ci się zgadał w kancelarii, że muszę choć odrobinę zęby popłukać. Może pójdziecie i wy od tego kurzu?

– Ma się rozumieć, że pójde, przecie zdrowie jest najpierwsze – odpowiadał kowal i nie zdejmując fartucha szedł wraz z sołtysem do karczmy.

A kiedy już raz wyszedł, mogli chłopcy na pewno gasić ogniska. Żeby robota była najpilniejsza, żeby się

walił świat, ani majster, ani sołtys przed wieczorem nie wyszli z karczmy, chyba że sołtysowi narzuciła się jaka urzędowa czynność.

Dopiero późno w nocy wracali do domu.

Zwykle sołtys wiodł kowala pod rękę, a ten dźwigał butelkę „płukania” na jutro. Na drugi dzień sołtys był zupełnie trzeźwy i gospodarował aż do nowego zarobku na urzędzie, ale kowal wciąż zaglądał w przyniesioną butelkę, dopóki się dno nie pokazało, i tym sposobem od jednego zamachu wypoczywał przez dwa dni.

Już półtora roku nadymał Antek miechy w kuźni, nie robiąc, zdaje się, nic więcej, i półtora roku majster z sołtysem regularnie płukali zęby pod sosnową wiechą. Aż raz zdarzył się wypadek.

Kiedy sołtys z kowalem siedzieli w karczmie, nagle po pierwszym półkwatku dano znać, że ktoś tam powiesił się – i gwałtem wyciągnięto sołtysa zza stołu. Kowal nie mając odpowiedniego towarzystwa musiał zaprzestać płukania, ale kupił niezbędną butelkę i powoli wracał z nią ku domowi.

Tymczasem do kuźni przyszedł chłop z koniem do okucia.

Ujrzawszy go terminatorzy zawołali:

– Nie ma majstra, dziś robi z sołtysem płukanie!

– A z was to żaden nie potrafi szkapy okuć? – spytał markotnie gospodarz.

– Kto tam potrafi! – odparł najstarszy terminator.

– Ja wam okuję – odezwał się nagle Antek.

Tonący chwyta się brzytwy, więc i chłop zgodził się na propozycję Antka, choć niewiele mu ufał, a jeszcze inni terminatorzy wyśmiewali go i wymyślali.

– Widzisz go, niedorostka! – mówił najstarszy. – Jak żyje, nie trzymał młota w garści, tylko dymał i węgli dokładał, a dziś porywa się na kucie koni!...

Widać jednak, że Antek miewał młot w garści, bo zawińawszy się w niedługim nawet czasie odkuł

kilka gwoździ i podkowę. Wprawdzie podkowa była za wielka i niezbyt foremna, ale swoją drogą terminatorzy pootwierali gęby.

Jak raz przyszedł na tę chwilę i majster. Opowiedziano mu, co się stało, okazano podkowę i gwoździe.

Kowal obejrzał i aż przetarł krwią nabiegłe oczy.

– A ty gdzieś się tego nauczył, złodzieju? – zapytał Antka.

– A w kuźni – odparł chłopiec zadowolony z komplementu. – Jak pan majster poszedł na płukanie, a oni rozbiegli się, to ja wykuwałem różne rzeczy z ołowiu albo i z żelaza.

Majster był tak zmieszany, że nawet zapomniał zbić Antka za psucie materiałów i narzędzi. Aż poszedł na radę do żony, skutkiem czego chłopca wydalonono z kuźni i przeznaczono do gospodarstwa.

– Za mądryś ty, kochanku! – mówił mu kowal. – Nauczyłbyś się fachu we trzy lata i później byś uciekł. A przecież matka oddała mi cię na sześć lat – do służby.

Pół roku jeszcze był Antek u kowala. Kopał w ogrodzie, pełł, rąbał drzewo, kołysał dzieci, ale już nie przestąpił progu kuźni. Pod tym względem wszyscy go rzetelnie pilnowali: i majster, i majstrowa, i chłopcy. Nawet własna matka Antkowa i kum Andrzej, choć wiedzieli o dekreście kowalskim, nic przeciw niemu nie mówili. Według umowy i obyczaju chłopiec dopiero po sześciu latach miał prawo jako tako faszerować kowalstwo. A że był dziwnie bystry i nie uczony przez nikogo, nauczył się kowalstwa sam w ciągu roku, więc tym gorzej dla niego!

Swoją drogą Antkowi uprzykrzył się taki tryb życia.

„Mam ja tu kopać i drwa rąbać, więc wolę to samo robić u matki!”

Tak sobie myślał przez tydzień, przez miesiąc. Wahał się. Ale w końcu – uciekł od kowala i wrócił do domu.

Te jednak parę lat wyszły mu na dobre. Chłopak wyrósł, zmężniał, poznał trochę więcej ludzi aniżeli w swojej dolinie, a nade wszystko poznał więcej rzemieślniczych narzędzi.

Teraz siedząc w domu pomagał czasem przy gospodarstwie, ale przeważnie robił swoje maszyny i rzeźbił figury. Tylko już oprócz kozika miał dłutko, pilnik i świderkę i władał nimi tak biegle, że niektórzy z jego wyrobów począł nawet kupować Mordko szynkarz. Na co?... Antek o tym nie wiedział, chociaż jego wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, święci i rzeźbione fajki rozchodziły się po całej okolicy. Dziwiono się talentowi nieznanego samouka, niegorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tym bardziej nikt nie myślał o podaniu mu pomocnej ręki.

Alboż kto pielęgnuje kwiaty, dzikie gruszki i wiśnie, choć niby wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek?...

Tymczasem chłopiec podrastał, a dziewczuchy i kobiety wiejskie coraz milej na niego spoglądały i coraz częściej mówiły między sobą:

– Ładny, bestyja, bo ładny!

Rzeczywiście Antek był ładny. Był dobrze zbudowany, w sobie zręczny i prosto się trzymał, nie tak jak chłopci, którym ramiona zwieszają się, a nogi ledwie posuwają się od ciężkiej pracy. Twarz także miał nie taką jak inni, ale rysy bardzo regularne, cerę świeżą, wyraz rozumny. Miał też jasne kędzierzawe włosy, ciemnawe brwi i ciemnoszafirowe oczy, marzące.

Mężczyźni dziwili się jego sile i sarkali na to, że próżnował. Ale kobiety wołały mu patrzeć w oczy.

– Jak on, bestyja, spoglądnie na człowieka – mówiła jedna z bab – to aż cię mrowie przechodzi. Taki jeszcze młodzik, a już patrzy na cię jak dorosły szlachcic!...

– Bo to prawda – zaprzeczyła druga. – On patrzy zwyczajnie jak niedorostek, ino ma taką słodkość w ślipiach, że aż cię rozbiera. Ja się na tym znam!...

– Chyba ja się lepiej znam – odparła pierwsza. – Przecież służyła we dworze...

A gdy się kobiety spierały tak o patrzenie Antkowe, on tymczasem na nie nie patrzył wcale. U niego więcej jeszcze znaczył pilnik aniżeli najładniejsza kobieta.

W tym czasie wójt, stary wdowiec, który już córkę z pierwszego małżeństwa wydał za mąż i miał jeszcze w domu kilkoro małych dzieci z drugiego małżeństwa, ożenił się trzeci raz. A jako zwykle łysi miewają szczęście, więc wynalazł sobie za Wisłą żonkę młodą, piękną i bogatą.

Kiedy para ta stanęła przed ołtarzem, ludzie poczęli się śmiać; a i sam ksiądz trochę pokiwał głową, że tak nie pasowali do siebie.

Wójt trząśł się jak dziad, co ze szpitala wyjdzie, i dlatego tylko był mało siwy, że miał głowę łysą jak dynia. Wójtowa była jak iskra. Czysta Cyganka z wiśniowymi ustami nieco odchylonymi i z oczami czarnymi, w których niby ogień paliła się jej młodość.

Po weselu dom wójta, zwykle cichy, bardzo się ożywił, bo raz w raz przybywali goście. To strażnik, który częstsze miewał niż zwykle interesa do gminy; to pisarz, który znać nie dosyć nacieszywszy się wójtem w kancelarii jeszcze go w domu odwiedzał; to znów strzelcy rządowi, których dotąd we wsi nie bardzo kiedy widywano. Nawet sam profesor, odebrawszy miesięczną pensję, cisnął w kąt stary kozuch i ubrał się – jak magnat, tak że niejeden wiejski człowiek począł go tytułować wielmożnym dziedzicem.

I wszyscy owi strażnicy, strzelcy, pisarze i nauczyciele ciągnęli do wójtowej jak szczury do młyna. Ledwie jeden wszedł do izby, już drugi wystawał za płotem, trzeci sunął z końca wsi, a czwarty kręcił się

koło wójta. Jejmość rada była wszystkim, śmiała się, karmiła i poiła gości. Ale też czasem wytargała którego za włosy, a nawet i wybiła, bo humor u niej łatwo się zmieniał.

Nareszcie po półrocznym weselu zaczęło być trochę spokojniej. Jedni goście znudzili się, drugich wójtowa przepędziła, i tylko podstarzały profesor, sam lichy jedząc i morząc głodem swoją gospodynię, za każdą pensję miesięczną kupował sobie jakiś figlas do ubrania i siadywał u wójtowej na progu (bo go z izby wyganiano) albo kłął i wzdychał pomiędzy opłotkami.

Jednej niedzieli poszedł Antek na sumę jak zwykle, z matką i bratem. W kościele było już ciasno, ale dla nich znalazło się jeszcze trochę miejsca. Matka uklękła między kobietami na prawo, Antek z Wojtkiem między chłopami na lewo i każdy modlił się, jak umiał. Naprzód do świętego w wielkim ołtarzu, potem do świętego, co stoi wyżej nad tamtym, potem do świętych w ołtarzach bocznych. Modlił się za ojca, co go przytłukło drzewo, i za siostrę, co z niej za prędko choroba w piecu wyszła, i za to, ażeby Pan Bóg miłosierny i jego święci ze wszystkich ołtarzów dali mu szczęście w życiu, jeżeli taka będzie ich wola.

Wtem gdy Antek już czwarty raz z kolei powtarzał swoje pacierze, uczuł nagle, że ktoś udeptał go w nogę i ciężko oparł mu się na ramieniu. Podniósł głowę. Przeciskająca się pomiędzy ciżbą ludu stała nad nim wójtowa, na twarzy smągła, zaczerwieniona, zadyszana z pośpiechu. Ubierała się jak chłopka, a spod chustki, spadającej z ramion, widać było koszulę z cienutkiego płótna i sznury paciorków z bursztynów i koralii.

I popatrzyli sobie w oczy. Ona wciąż nie zdejmowała mu ręki z ramion, a on... klęczał, patrzył na nią, jak na cudowne zjawisko, nie śmiejąc ruszyć się, aby mu nagle nie znikła.

Między ludźmi poczęto szeptać.

– Usuniecie się, kumie, pani wójtowa idą.

Kumowie usunęli się i wójtowa poszła dalej, aż przed wielki ołtarz. W drodze niby potknęła się i znowu spojrziała na Antka, a chłopca aż gorąco oblało od jej oczów. Potem usiadła na ławce i modliła się z książki, czasami podnosząc głowę i spoglądając na kościół. A kiedy na podniesienie zrobiło się cicho, jakby makiem zasiał, i pobożni upadli na twarze, ona złożyła książkę i znowu odwróciła się do Antka topiąc w nim ogniste żrenice. Na jej cygańską twarz i sznur paciorków spłynął z okna snop światła i wydała się chłopcu jako święta, wobec której ludzie milkną i rzucają się w proch.

Po sumie ludzie tłumem poszli do domów. Wójtową otoczyli pisarz, nauczyciel i gorzelnik z trzeciej wsi, i już Antek nie mógł jej zobaczyć.

W chacie postawiła matka chłopakom doskonały krupnik zabieleny mlekiem i wielkie pierogi z kaszą. Ale Antek, choć lubił to, jadł ledwie jednym zębem. Potem zabrał się, poleciał w góry i położywszy się na najwyższym szczycie, patrzył stamtąd na wójtową chatę. Ale widział tylko słomiany dach i mały niebieski dymek wydobywający się powoli z obielonego komina. Więc zrobiło mu się tak czegoś tęskno, że schował twarz w starą sukmanę i zapłakał.

Pierwszy raz w życiu uczuł wielką swoją nędzę. Chata ich była najbiedniejsza we wsi, a pole najgorsze. Matka, choć przecie gospodyni, pracować musiała jak komornica i odziewała się prawie w łachmany. Na niego samego patrzono we wsi jak na straceńca, który nie wiadomo po co innym chleb zjada. A co go się nie nabili, co go się nawet psy nie nagryzły!...

Jakże daleko było mu do profesora, gorzelnika, a choćby i do pisarza, którzy ile razy chcieli, mogli wejść do wójtowskiej chaty i gadać z wójtową. Jemu zaś nie o wiele chodziło. Pragnął tylko, żeby jeszcze

choć raz jeden, jedyny i ostatni raz w życiu, oparła mu kiedy wójtowa na ramieniu rękę i spojrzała w oczy tak jak w kościele. Bo w jej spojrzeniu mignęło mu coś dziwnego, coś jak błyskawica, przy której na krótką chwilę odsłaniają się niebieskie głębokości pełne tajemnic. Gdyby je kto dobrze obejrzał, wiedziałby wszystko, co jest na tym świecie, i byłby bogaty jak król.

Antek w kościele nie przypatrzył się dobrze temu, co mignęło w oczach wójtowej. Był nieprzygotowany, olśniony i szczęśliwą sposobność stracił. Ale gdyby ona tak jeszcze kiedy na niego chciała spojrzeć!...

Marzyło mu się, że zobaczył przelatujące szczęście, i strasznie do niego zatęsknił. Zbudziło się drzemiące serce i wśród boleści poczęło się – jakby przeciągać. Teraz świat wydał mu się całkiem odmienny. Dolina była za szczupła, góry za niskie, a niebo – bodaj czy się nie opuściło, bo zamiast porywać ku sobie, zaczęło go przygniatać. Chłopiec zeszedł z góry pijany, nie wiedząc, jakim sposobem znalazł się nad brzegiem Wisły, i patrząc w rzeczne wiry czuł, że go coś pociąga ku nim.

Miłość, której nawet nazwać nie umiał, spadła nań jak burza rozniecając w duszy strach, żal, zdziwienie i – albo on wiedział co jeszcze?

Odtąd co niedzielę chodził do kościoła na sumę i z drżeniem serca czekał na wójtową, myśląc, że jak wtedy położy mu rękę na ramieniu i spojrzy w oczy. Ale wypadki nie powtarzają się, zresztą uwagę wójtowej pochłaniał teraz gorzelnik, chłop młody i zdrowy, który aż z trzeciej wsi przyjeżdżał... na nabożeństwo.

Wówczas Antek wpadł na osobliwy pomysł. Postanowił zrobić piękny krzyżyk i ofiarować wójtowej. Wtedy ona chyba spojrzy na niego i może uleczy z tej tęsknicy, która mu wypijała życie.

Za ich wsią, na rozstajnych drogach, znajdował się dziwny krzyż. Od podstawy owijały go powoje. Nieco

wyżej była drabinka, włócznia i cierniowa korona, a u szczytu przy lewym ramieniu wisiała jedna ręka Chrystusa, bo resztę figury ktoś ukradł – pewnie na czary. Ten to krzyż wziął Antek za model.

Strugał więc, przerabiał i na nowo zaczynał swój krzyżyk starając się, ażeby był piękny i wójtowej godny.

Tymczasem na wieś spadło nieszczęście. Wisła wyłała, przerwała tamę i zniszczyła przybrzeżne pola. Ludzie wiele stracili, ale najwięcej Antkowa matka. W chacie jej pokazał się nawet głód. Trzeba było iść na zarobek, chodziła więc i sama nieboga, i Wojtusia oddała na pastucha. Ale wszystko to nie wystarczało. Antek, nie chcący jąć się pracy gospodarskiej, był dla niej prawdziwym ciężarem.

Widząc to stary Andrzej począł nalegać na chłopca, ażeby poszedł w świat.

– Jesteś przecie chłopak bystry, silny, zręczny do rzemiosła, więc udaj się między miejskich ludzi. Tam nauczysz się czego i jeszcze matce będziesz pomocny a tu ostatni kęs chleba odejmujesz jej od gęby.

Antek aż pobladł na myśl, że przyjdzie mu opuścić wieś bez zobaczenia się choć raz z wójtową. Rozumiał jednak, że inaczej być nie może, i tylko prosił, żeby mu zostawili kilka dni.

Przez ten czas z podwojoną gorliwością rzeźbił swój krzyżyk i wyrzeźbił bardzo ładny, z powojem u dołu, z narzędziami męki i z ręką Pańską przy lewym ramieniu. Ale gdy skończył robotę, żadną miarą nie miał odwagi pójść do wójtowskiego mieszkania i swój dar ofiarować wójtowej.

Przez ten czas matka polatała mu odzienie, pożyczła od Mordki rubla na drogę, wystarała się o chleb i ser do kobiałki, wypłakała się. Ale Antek wciąż marudził, z dnia na dzień odwlekając swoje wyjście.

Zniecierpliwiło to Andrzeja, który jednej soboty wywołał chłopca z chaty i rzekł mu surowo:

– No, a kiedyż ty, chłopaku, opamiętasz się? Czy chcesz, żeby przez ciebie matka z głodu i z pracy zmarła? Przecie ona swoimi starymi rękoma nie wykarmi siebie i takiego jak ty draba, co próżnuje po całych dniach!...

Antek schylił mu się do nóg.

– Poszedłbym już, Andrzej, ale kiedy mi strasznie żal porzucać swoich!

Nie powiedział jednak, kogo mu żal najwięcej.

– Oho! – zawołał Andrzej. – A cóżes ty dziecko przy piersi, że nie możesz się obejść bez matki? Dobry z ciebie chłopak, ani słowa, ale masz w sobie takiego niechcieja, co by cię tu do siwych włosów trzymał matce na karku. Dlatego ja ci powiem: jutro święta niedziela, wszyscy będziemy wolni i odprowadzimy cię. Więc po nabożeństwie zjesz obiad i pójdziesz. Dłużej tu z założonymi rękami nie ma co siedzieć. Ty najlepiej wiesz, że mówię prawdę.

Antek, upokorzony, wrócił do chaty i powiedział, że już jutro pójdzie w świat szukać roboty i nauki. Biedna kobieta połykając łzy poczęła szykować go do drogi. Dała mu starą kobiałkę, jedyną w chacie, i torbę parcianą. W kobiałkę włożyła trochę jadła, a w torbę pilniki, młotek, dłutka i inne narzędzia, którymi Antek od tylu lat wyrabiał swoje zabawki.

Nadeszła noc, Antek legł na twardej ławie, ale zasnąć nie mógł. Uniósłszy głowę patrzył na dogasające w kominie węgle, słuchał dalekiego szczekania psów albo świerkania świerszcza w chacie, który nad nim tak wołał, jak wołają polne koniki nad opuszczonym grobem małej jego siostry Rozalii.

Wtem usłyszał jeszcze jakiś szmer w rogu izby. To bezsenna matka jego po cichu szlochała...

Antek ukrył głowę pod sukmanę.

Słońce było wysoko, kiedy się obudził. Matka już wstała i drżącymi rękoma ustawiała garnuszki przy ogniu.

Potem wszyscy razem usiedli za stół do śniadania i trochę podjadłszy poszli do kościoła.

Antek miał na piersiach pod sukmaną swój krzyż. Co chwilę przyciskał go, oglądając się niespokojnie, czy gdzie wójtowej nie widać, i myśląc z trwogą, jak też on jej swój dar doręczy?

W kościele nie było wójtowej. Chłopak, klęcząc na środku, machinalnie odmawiał modlitwy, ale co mówił?... nie rozumiał. Gra organów, śpiew ludu, dźwięk dzwonków i własne cierpienie w duszy jego zlały się w jedną wielką zawieruchę. Zdawało mu się, że cały świat drży w posadach w tej chwili, kiedy on ma opuścić tę wieś, ten kościół i wszystkich, których ukochał.

Ale na świecie było spokojnie, tylko w nim tak kipiał żal.

Nagle organy ucichły, a ludzie pochylili głowy. Antek ocknął się, spojrział. Jak wówczas, tak i dziś było podniesienie i jak wówczas, w ławce przy wielkim ołtarzu siedziała wójtowa.

Wtedy chłopiec ruszył ze swego miejsca między ciżbą ludu, zacząłgał się na kolanach aż do owej ławki i znalazł się u nóg wójtowej. Sięgnął za pazuchę i wydobył krzyżyk. Ale odbiegła go wszelka śmiałość, a głos mu zamarł tak, że jednego wyrazu nie mógł przemówić. Więc zamiast oddać krzyżyk tej, dla której rzeźbił go przez parę miesięcy, wziął i zawiesił swoją pracę na gwoździu wbitym w ścianę obok ławki. W tej chwili ofiarował Bogu drewniany krzyżyk, a razem z nim swoją tajemną miłość i niepewną przyszłość.

Wójtowa zauważyła szmer i spojrzała na chłopca ciekawie, tak samo jak wtedy. Ale on nic nie widział, bo mu się oczy zasłoniły łzami.

Po sumie matka z dziećmi wróciła do chaty. Ledwie zjedli kartoflanke i trochę klusków, ukazał się w izbie kum Andrzej i po przywitaniu rzekł:

– No, chłopcze! Zabieraj się! Komu w drogę, temu czas.

Antek podpassał sukmanę rzemykiem, przewiesił torbę z narzędziami przez jedno ramię, a kobiałkę przez drugie.

Gdy już wszyscy gotowi byli do drogi, chłopiec ukląkł, przeżegnał się i ucałował klepisko chaty jak podłogę kościelną. Potem matka wzięła go za jedną rękę, brat Wojtuś za drugą i jak pana młodego do ślubu wiedli go oboje najukochańsi na próg świata.

Stary Andrzej włókł się za nimi.

– Masz tu rubla, Antku – mówiła matka wciskając chłopcu w rękę gałganek pełen miedzianych pieniędzy. – Nie kupuj za to, dziecko, statków do krajaniania, ino schowaj se ten grosz na złe czasy, kiedy ci się jeść zachce. A jeżeli kiedy zarobisz taki pieniądz, to daj go na mszę świętą, ażeby ci Bóg błogosławił.

I szli tak wolno, wąwozem pod górę, aż im wieś z oczu znikła; tylko z karczmy dolatywało ciche granie skrzypków i dudnienie bębna z dzwonkami. Wreszcie i to ucichło, znaleźli się na wyżynie.

– No, wróćwa się już – rzekł Andrzej – a ty, chłopaku, idź wciąż drogą i pytaj się o miasto. Bo tobie nie na wsi mieszkać, ino w mieście, gdzie ludzie chętniejsi są do młotki niż do roli.

Wdowa na to odezwała się z płaczem:

– Kumie Andrzeju, doprowadźmyż go choć do figury świętej, gdzie by pobłogosławić go można.

A potem biadała:

– Czy kto kiedy słyszał, żeby rodzona matka dziecko swoje wiodła na stracenie? Wychodzili, prawda, od nas chłopacy do wojska, ale to był mus. Nigdy przecie nie widziano, żeby kto z własnej woli opuszczał wieś, gdzie się urodził i gdzie go przyjąć powinna święta ziemia. Oj, doloż ty moja, dolo! że ja już trzecią osobę z chaty wyprowadzam, a sama jeszcze żyję na świecie!... A schowałeś, synusiu, pieniądze?

– Schowałem, matulu.

Doszli do figury i poczęli się żegnać.

– Kumie Andrzeju – mówiła wdowa łkając – wyście tyle świata widzieli, wyście z bractwa, pobłogosławcież tego sierotę – a dobrze, żeby się nim Pan Bóg opiekował.

Andrzej popatrzył w ziemię, przypomniał sobie modlitwę za podróżnych, zdjął czapkę i położył ją pod figurą. Potem wzniosł ręce ku niebu, a gdy wdowa i obaj jej synowie uklękli, począł mówić:

– O, Boże święty, Ojcze nasz, któryś naród swój wyprowadził z ziemi egipskiej i z domu niewoli, który każdemu stworzeniu, co się rucha, dajesz pokarm, który ptaki powietrzne do ich starodawnych gniazd powracasz, Ciebie prosimy, bądź miłościw temu podróżnemu, ubogiemu i strapionemu! Opiekuj się nad nim, Boże nasz święty, w złych przygodach pocieszaj, w chorobie uzdrów, w głodzie nakarm i w nieszczęściu ratuj. Bądź mu, Panie, miłościw pośród obcych, jakoś był Tobiaszowi i Józefowi. Bądź mu ojcem i matką. Za przewodników daj mu aniołów Twoich, a gdy spełni, co sobie zamierzył – do naszej wsi i do jego domu szczęśliwie powrót.

Tak się modlił chłop w świątyni, gdzie polne zioła pachniały, śpiewały ptaki, gdzie pod nimi błyszczała w ogromnych skrętach Wisła, a nad nimi stary krzyż szeroko otwierał ramiona.

Antek upadł do nóg matce, potem Andrzejowi, ucałował brata i – poszedł drogą.

Ledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, aż wdowa zawołała za nim:

– Antku!...

– Co, matulu?...

– A jak ci tam będzie źle u obcych, wracaj do nas...

Niech cię Bóg błogosławi.

– Zostańcie z Bogiem! – odparł chłopak.

Znowu uszedł kawałek drogi i znowu zawołała za nim smutna matka:

– Antku!... Antku!...

– Co, matulu? – spytał chłopiec.

Głos jego już słabiej dolatywał.

– A nie zapomnij o nas, synusiu! Niech cię Bóg błogosławi!

– Zostańcie z Bogiem!

I szedł, szedł, szedł jak ów chłopak, co wybrał się po cyrograf wystawiony na własną duszę. Wreszcie za wzgórkim znikł. Na polu rozlegał się jęk zbolalej matki.

Ku wieczorowi niebo zaciągnęło się chmurami i spadł drobny deszcz. Ale że chmury nie były gęste, więc przedarły się przez nie blaski zachodzącego słońca. Zdawało się, że nad szarym polem i nad grząską, gliniastą drogą unosi się złote sklepienie powleczone żalobną krepą.

Po tym polu szarym i cichym, bez drzew, po drodze grząskiej posuwał się z wolna strudzony chłopiec w siwej sukmance, z kobiałką i torbą na plecach.

Zdawało się, że wśród głębokiego milczenia krople deszczu nuć tęskną melodię znanej pieśni:

Przez dolinę, przez pole Idzie sobie pacholę, Idzie sobie i śpiewa. Wiatr mu z deszczem przygrywa!

Może spotkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć. W jego oczach zobaczycie jakby odbłask nieba, które przegląda się w powierzchni spokojnych wód; w jego myślach poznacie naiwną prostotę, a w sercu tajemną i prawie bezświadomą miłość.

Wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku. Będzie to nasz mały brat, Antek, któremu w rodzinnej wsi stało się już za ciasno, więc wyszedł w świat oddając się w opiekę Bogu i dobrym ludziom.

SPIS TREŚCI

Kamizelka	1
Katarynka	13
Antek	29